

Księżę olch

*Noc padła na las, las w mroku spał,
Ktoś nocą lasem na koniu gnał.
Tętniło echo wśród olch i brzoź,
Gdy ojciec syna do domu wiózł...¹*

Nie bardzo wiadomo, kto komu pierwszy o tym powiedział, bo potem już poszło – jeden od drugiego, jedna do drugiej, jakby domino układało się w krętą ścieżkę, dalej, dalej, następny, następna, ale cicho-sza, cicho-sza, szu-szu. Najpewniej któraś z jej przyjaciółek, ani chybi ta gaduła Weronika – „w największej tajemnicy” – szepnęła coś komuś, z kim siedziała w ławce na lekcji francuskiego albo na przykład na chemii. Na chemii, w czasie ćwiczeń w pracowni, o tak, to możliwe – dajmy na to wtedy, gdy w cichym skupieniu pochylali się przy laboratoryjnych, poplamionych odczynnikami stołach, a żółta przezroczysta ciecz podgrzewana ostrożnie w retortach, mętniała powoli i wydzielala słodki, mdły zapach migdałów. Nieznośne, nieusuwalne wspomnienie tego zapachu towarzyszyło im potem, gdy rozmawiali o niej i o nim, w parku nad rzeką (jeśli tych kilka alejek i parę drzew oraz krzewów można nazywać parkiem), po kryjomu przypalając połówki papierosów (chłopcy) i popijając puszkowe tanie piwo (bez różnicy, i chłopcy, i dziewczyny); gdy w *fin de siècle*’owej cukierni pani Emilii rozmyślali o nich nad filiżankami aromatycznej mocnej kawy z pani Emilii nowego błyszczącego ekspresu, gdy w „Naszej Księgarni” na Rynku przeglądali książki, co to je w tym tygodniu pan Piotr sprowadził „specjalnie” dla ich ostatniego, maturalnego rocznika (żeby podciągnęli się nieco w nowej literaturze polskiej); gdy wieczorem wracali do domów, skołowani tymi wszystkim trochę i jacyś zmęczeni, znużeni, i przed zamknięciem się w swoich pokojach szybko, niechętnie kiwali głowami, odpowiadając w ten sposób natarczywym pytaniom, uwagom rodziców: „Ale ją urządził. I po co to głowę przez rok jej zawracał? A to ci łobuz. Niby taki grzeczny, uprzejmy. A nie ostrzegałam was (ostrzegałam) przed tymi ludźmi? Tak to jest, gdy się z heretykiem zadasz. Nie mogła się to umawiać z którymś z naszych? Najładniejsza dziewczyna w miasteczku i teraz wstydu się tylko naje, bo kto zaręczy, czy jeszcze... Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ścisze tę muzykę trochę. A lekcje na jutro masz przygotowane? Co z tego, że sobota, toż matura za pasem. Chyba, że chcesz za parobka u nich w polu robić. Skaranie boskie z wami, młodymi”.

¹ Tu i dalej: J.W.Goethe, *Król olszyn*, tłum. Wisława Szymborska.

Justyna przez tydzień nie przychodziła do szkoły, rzekomo dopadł ją wirus grypy, o którym czytali w „Dodatku” Przeglądu Codziennego, i którym od miesiąca straszyla ich telewizja; byłaby zatem pierwszą ofiarą choroby po tej stronie Góry. Chłopcy mocno w ten powód wątpili, ale twarze jej najbliższych koleżanek były nieprzeniknione, usta posznurowane jak ciasne gorsety, na nic więc zdały się zaczepki i sprytne (w chłopaków mniemaniu) podpytywania i zagadywania. „Chora, nie słyszałeś? Chora. Ch o r a. Leży w łóżku, ma wysoką gorączkę. Grypa, bo to j e s t grypa, bywa niebezpieczna. Tak, odwiedzamy ją, ale rozmawiamy tylko przez drzwi. To może być zaraźliwe. Och, daj mi wreszcie spokój, zajmijże się czym innym, i tak nic nie pomożesz. Podobno znowu przegraliście mecz, tym razem z pierwszakami... I to jest prawdziwa tragedia”.

Ale i przyjaciółki Justyny były w rozterce. Dziewczyna leżała prawie bez ducha, nie chciała nic jeść i co gorsza – rozmawiać. Lekarz, doktor Jamróz, któremu można było zarzucić to i owo, na przykład, że przesadza trochę z ilością szklanek wina wypijanych co niedziela w nadrzecznej tawernie, ale nie to, iż nie zna się na medycznych przypadłościach nastoletnich panienek, wykluczył oczywiście influencę, jak również banalne zatrucie pokarmowe, ale i on nie potrafił postawić absolutnie stuprocentowej diagnozy. „Na tle psychicznym. Tak mniemam. Słyszałem, że ona i ten Krzysztof już nie... To wielce prawdopodobne, to się zdarzało w przeszłości, w życiu i w literaturze. Na przykład, na przykład... no, jest wiele przykładów. Zapiszę łagodny ziołowy syropek na uspokojenie. Dwa razy dziennie po łyżeczce. Potrzebuje spokoju, ale niech nie zostaje sama. Oto recepta. Aha, dawać dużo pić. Nie można dopuścić do odwodnienia organizmu. Odwodnienie to rzecz najgorsza, najgorsza, moja droga pani Nowikowa. A propos płynów...”.

Zatem okoliczności wydarzeń pozostawały niejasne. Co się stało – mniej więcej wiedziano. Jednak „dlaczego?” nikt w miasteczku nie miał bladego pojęcia. „Prędzej spodziewałabym się, że nasz zacny burmistrz zrezygnuje z kandydowania na kolejne cztery lata, że nasz czcigodny mistrz Czarmański skończy wreszcie ów obraz dla Ratusza, co to go zaczął malować jakiś (dobry, oj dobry) czas temu, albo że nasza staruszka jabłoń znów zacznie rodzić te swoje kwasy niż to... A taka z nich była piękna para, a taki był za nią. Do zatracenia. I co teraz? Czy Nowikowie powiadomili już księdza proboszcza? A tyle z tym zachodu było. Sam biskup... Czy wie pani, podobno u Emilii zamówili... W tawernie miało być wesele...”. „Eee, co też mówicie. Nie w tawernie, tylko w ‘Hotelu nad Czarną’; salę większą mają, ładniejszą, w modrzewiu całą i pięknie oświetloną, wystawniejsze byłoby wszystko i eleganckie bardziej”.

Spyta ktoś, dlaczego nie próbowano dowiedzieć się czegoś wprost od niego albo od jego młodszej siostry, Danusi, lub brata przyrodniego, Wiktora. Dlaczego chodzić po wodę hen daleko, a nie pić wprost ze źródła, które u progu domu bije? Dlaczego wdrapywać się na ostatnią gałąź, jeśli szyszki na pierwszej już widać? Jeśli ktoś tak pytał – nie znał ani jego, ani siostry, ani brata, ani tym bardziej ich ojca czy tej ich dziwnej matki. Dlatego staremu Nowikowi, ojcu Justyny, nawet przez myśl nie przeszło, żeby do Selinów za rzekę chodzić i o sprawy Krzysztofa pytać, albo z nim samym próbować się rozmówić; z tego to powodu dziewczyny z klasy wcale nie rozpytywały Danuśki o to, co się jej bratu stało, co go odmieniło i dlaczego tak właśnie, a nie inaczej postąpił, z dnia na dzień, czy to już nieodwołalne i na amen między nim i Justyną postanowione. Dlatego nie zaczepiano Wiktora, gdy ten robił w sklepie na rozstajach cotygodniowe zakupy i posiadał potem w barze nad kufelkiem ulubionego portera.

Więc, kto tak pyta, ten nie wie, jak to z nimi było od początku.

– Cóż tobie, synku, że w las patrzysz tak?

Tam ojciec, on, król olch, daje znak,

Ma płaszcz, koronę i biały tren.

– To mgła, mój synku, albo sen.

J.S., urzędnik Magistratu

... Na samym początku to było tak.

W naszym mieście od XVI czy XVII wieku stoi zbór. Ewangelicko-reformowany. Niektórzy na nasze miasto obraźliwie mówią: „miasteczko” – Olchowiec nie jest duży, ot raptem pięć tysięcy dusz, ale ma burmistrza i Ratusz, komendę policji, gazetę (właściwie to tylko nieregularny dodatek lokalny, ale zawsze gazeta...), szpital z czterema oddziałami, dwie księgarnie, a nawet nadwornego, magistratowego malarza. Zbór wybudowano przy gościńcu do Radzyna, niedaleko miejsca, gdzie teraz jest pusty plac, obrośnięty wkoło leszczyną i głogiem, i gdzie raz na tydzień, co wtorek, ludzie zjeżdżają na targ (takie tam wiejskie targowanie, kury nioski-kaczki-gęsi-jaja-smalec-adidas-y-w-cztery-pasy; nasz zacny i światły burmistrz wstydzi się tego trochę), a gdzie dawniej była podobno wcale duża kolonia kalwinów. (Kalwini niby chrześcijanie jak i my, tyle że Panienki nie czczą jak papież i do świętego Antoniego nie modlą się, gdy klucze zgubią). Kolonistów nie ma od tamtej wojny, a może i dłużej; resztki fundamentów starych domów rozebrano ponoć za Niemca, ale ten zbór się ostał. Stoi ukryty w krzakach nad strugą, która sączy do naszej rzeki, schowany za

krzywym, zmurszałym płotem i nawet go z drogi nie widać. Faszyci nie ruszyli zboru, pewnie mieli do niego sentyment (ewangelicy to przecie Niemcy), za władzy ludowej cudem go nie zburzono – czy to cegły wydawały się przez ząb czasu zbyt nadgryzione, a zaprawa zbyt twarda, czy przez lenistwo urzędnika, który zaniedbał wykonanie polecenia, a może konserwator zabytków za zborem się wstawił, bardziej z żalu i nostalgii niż z historycznego przymusu, boć urody żadnej w budowlu tej nie ma, choć kilkaset lat na grzbiecie już nosi. Ot, dom jak dom, cztery ściany z przybudówką i małym gankiem, dach pochyły, ale nie bardzo, dwuspadzisty, dachówka poszczerbiona, ale nie dziurawa, okna proste, drzwi zwykłe, choć na solidną kłódkę zamknięte, w środku pusto, ściany ni białe, ni szare, taką nijaką białoszarością, która smutek rozsiewa, kilka surowych pokrzywionych ławek. I tylko ślad po krzyżu na frontowej ścianie pozostał (co można było dostrzec przez szybę, gdy się ją trochę ręką przetrze; szyby całe, a kłódka naoliwiona, więc chyba ktoś o zbor się jednak troszczył, przynajmniej z daleka).

Już nawet synagoga, która w Radzynie pod wzgórzem stoi, ładniejsza, choć do innej wiary przeznaczona, więc kolejność przypisaną i hierarchię boską łamie, a która jest taka: kościół katolicki, cerkiew prawosławna, ewangelicki zbor, synagoga, meczet. Och, gdzież zborowi temu na przykład do naszego olchowieckiego kościółka przy Rynku. Z przysadzistą wieżyczką, zakończoną wdzięczną kopułką oraz iglicą, która w niebo celuje i anioły łapie, a którego złapie – na dół w niewolę wysyła. Z kolorowymi witrażami, które sceny z życia świętego Franciszka – patrona parafii – wyobrażają, a najpiękniejsze są, kiedy wczesne, ledwie rozbudzone, jeszcze rozespiane słońce w nich się przegląda i motyle promyki na nich sadza. Kościółka z fruującymi pod sklepieniem jaskółkami i złożonymi cherubinami (tymi złapanymi dopiero co na igłę), Matką Boską z rumianym (jak to jabłko, które dźrzy w dłoni) Dzieciątkiem – pod chórem z prawej strony, i męczeńskim, ku pocieszeniu naszej wiary wskroś strzałami przeszytym, świętym Sebastianem – po lewej; ze scenami Męki Pańskiej, malowanymi jajeczną temperą na bukowych deskach, jedna za drugą, jedna za drugą, wzdłuż filarów, po obu stronach kościoła; znów Biedaczną z Asyżu, w ołtarzu bocznej nawy, z ptaszkami i zwierzątkami leśnymi spacerującym, kantyczkę wszelkiemu stworzeniu, braciom swym i siostram: słońcu, lunie, gwiazdom, wiatrowi, ogniewi i ziemi śpiewającym i ku Bogu wznoszącym ręce w szczęśliwym westchnieniu; w końcu z siedemnastowiecznym cudnym „Deesis” (jak mówi ksiądz proboszcz) nad głowami rozmodlonych wiernych, na którym wyobrażeni są i Jezus Pantokrator, i Maryja, i Jan Chrzciciel, i aniołowie, i święci, i w końcu także my, my dzieci boże. Jakże więc się równać tej ponurej kalwińskiej budowli, której ani z zewnątrz, ani od wewnątrz ludzkie i boskie piękno nie pieści ani nawet nie dotknie (bo taka

już natura owego zboru, od owych kalwinów czy lutrów idąca), z tym naszym wesołym, ślicznym przybytkiem bożym, ku rzymskiej, katolickiej chwale wzniesionym – co ciekawe – prawie w tym samym czasie, co ona nieszczęsna ewangelicka świątynia. (Prawda, może oko ludzkie i dusza człowiecza w kościele naszym katolickim nadmiernego spoczynku nie doznają, ale bo to nie jest powiedziane: „Głoście Jego chwałę, rozgłaszajcie cuda Jego”?).

Stał więc ten stary zbor na skraju naszego miasteczka (niech już będzie...) i pewnie stałby tak, do końca naszego olchowieckiego świata, zapomniany przez Boga i ledwie-ledwie pamiętany przez ludzi, gdyby nie zdarzył się cud. Ponieważ w cuda kalwini nie wierzą (dziwne, nic do Boga tak nie przyciąga, jak znak Jego ręką dany), zatem poszukać by trzeba w tym palca ludzkiego raczej aniżeli interwencji Bożej Opatrzności. Okazał się nim palec Macieja Rybarczyka, szanowanego ongiś obywatela Olchowca, a właściwie jego wszystkie palce, które ni stąd, ni zowąd poczuły okrutne zamięłowanie do hazardu i ciągnęły już odtąd Macieja z całej siły (wbrew jego łagodnej i szczerzej naturze) do gier karcianych, a szczególnie do *Black Jacka* („oczka”, po prostu naszego zwyczajnego „oczka”, tyle że nie od dziewiątek, a od dwójek, i na prawdziwe, to jest dużomiastowe, czyli niemałe pieniądze). Zarządzał ów Maciej piękną, ładnie zaprowadzoną gospodarką, ze sporym kawałkiem żytniego pola i mniejszym tytoniowym łanem, bujną, gęstą od koniczyny łąką u stóp Góry (gdzie i czterolistna nie bywa rzadkością), leśną parcelką na jej południowym stoku, dużą mleczną oborą i niemałą stajnią, a nawet... nawet małą przystanią nad rzeką. Rządził się Maciej w „Maciejce” dobrze, pracowicie, sumiennie (sam już niestety, bo owdowiał niedawno, a dzieci mu los niełaskawy poskąpił), za gospodarza wielkiego, pierwszego w Olchowcu uchodził, póki go te jego własne palce nie zgubiły, póki mu ostatniego grosza z banku nie wyciągnęły, potem jeszcze cudzych, spółdzielczych (czytaj: naszych wspólnych) pieniędzy dobierając, do czasu, aż rozsierzzeni i gotowi na wszystko wierzyciele nie wystawili całego majątku na sprzedaż. Komornik z Radzyna, krwiopijca, łotr oraz łajdak oczywisty, choć czasem – jak widać – i nasz sprzymierzeniec, znęcony procentem niemałym uwinął się raz-dwa i po krótkiej licytacji („przybite! przybite!”) w posiadanie majątku wszedł niejaki Selin Andrzej z samej Wielkopolski. (Zaś Maciej Rybarczyk niebawem wyjechał z Olchowca i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa – czy żyje, czy umarł, czy siedzi gdzieś na łaskawym chlebie, a może gra dalej w te swoje karty, choć teraz to chyba już tylko na zapałki...).

Andrzej Selin, człowiek już wówczas niemłody, lat około sześćdziesięciu, chociaż krzepki wciąż i pełen werwy, przywiózł do Olchowca żonę Krystynę, sporo od niego młodszą (druga żona, pierwsza zmarła dawno temu, po krótkiej chorobie, parę lat po urodzeniu Selinowi

pierworodnego Wiktora), troje dzieci i pomocnika-parobka. Najstarszy Wiktor dobiegał trzydziestki. Był to poważny, stateczny mężczyzna, wciąż kawaler, mało zainteresowany kobietami i tym, co nie było codzienną, ciężką, monotonną pracą i licznymi obowiązkami w gospodarstwie, których mu nigdy nie brakowało (młodsze, a i nieco starsze damy w miasteczku sprawdziły go szybko i szybko dały sobie z nim spokój). Silny, podobny do niedźwiedzia, przeznaczony był od dziecka do pracy i pomocy ojcu (skończył w tym celu dobrą szkołę rolniczą), więc pracował ciężko, ale wiedział, że jego wysiłek i oddanie zostaną wynagrodzone i to jemu ojciec zapisze kiedyś wszystko, czego się w życiu dorobi. Pod Poznaniem, a potem koło Leszna Selinowie mieli gospodarstwa hodowlane, ale Selin od dawna już szukał czegoś nowego, większego, bardziej złączonego z ziemią, chętnie gdzieś na Południu, najchętniej – Pogórze. Gospodarkę porybarczykową kupił – rzecz to była absolutnie pewna – bardzo tanio, wręcz okazjnie, i uważał, że należy mu się w końcu taki dar od Boga w nagrodę za znojną pracę, uczciwe życie i cichą cierpliwość.

Dwójkę młodszych dzieci, Krzysztofa i Danutę, urodziła Selinowi już Krystyna, przy czym Krzysztof przyszedł na świat jeszcze przed upływem rocznej żałoby po pierwszej żonie (co stanowiło rodzinną tajemnicę i o czym nigdy głośno się nie mówiło), a Danuśka w rok później. Niedługo potem zjawiała się jeszcze druga córeczka, ale zmarła biduleńka tuż po urodzeniu, i jeszcze synek, oczko w głowie radosne i betlejemska gwiazdeczka, który na ostre zapalenie płuc zachorował nagle, gdy pół roku skończył i rodzina Selinów już się nie próbowała powiększać. Krystyna pomagała mężowi w prowadzeniu kolejnych gospodarstw, poza tym gotowała, prała, prasowała, szyła, cerowała. Odłożyła na bok, odstawiła prędko to, o czym może myślała za młodu i pracowała ciężko od rana do nocy, trzymając się cały czas na uboczu; pasierb jej nie tolerował, nie mogąc zapomnieć, że wsunęła się ojcu do łóżka, gdy ten jeszcze bolał po śmierci swojej pierwszej, własne dzieci jej nie zauważały, więc zamknęła się w sobie, w modlitwach, oddając się zapamiętałe czytaniu Pisma (co robiła zawsze pod uważnym męża nadzorem). Do swoich dzieci miała cichy żal, że nie doceniają wkładu jej krwi w krew własną, bo choć sama była prostą, zwyczajną kobietą, Krzysztof i Danusia odziedziczyli po niej coś nieuchwytnego, ulotnego, coś nowego i dotąd niespotykanego w rodzinie Selinów, jakieś dziwne – ją samą zaskakujące – relacje ze światem i Bogiem (sama nie umiałaby tego nawet nazwać), zmienność uczuć na przykład, bo z nastroju melancholii i bezdenne smutku przeskakiwali nagle w wielką wesołość, a czasem nieopanową radość. Krzysztof i jego młodsza siostra nie widzieli przecież niczego, co mogłoby ich łączyć z matką, co mogłoby z niej w nich się zrodzić (poza jasnymi pszczykami włosami i zielonymi jak łąki oczami) i choć ojciec był surowym, małowównym człowiekiem, to jednak właśnie

on, nie ona, mieszkał w ich myślach i sercach. Szczególnie Krzysztof obserwował ojca uważnie, wsłuchiwał się w to, co ojciec mówi i rozpamiętywał jego chłodne, rzucane między nich jakby mimochodem uwagi. Selin widząc, że jego młodsze dzieci różnią się bardzo od przyrodniego brata, czując, że inna niż tamtemu przyszłość jest im pisana, nie przymuszał ani Krzysztofa, ani Danuty, by cały swój wolny czas oddawali jemu i tym sprawom, które on kochał, ale pozwalał, by młodsze dzieci po swojemu układały sobie życie. Irytowało go oczywiście często to i owo, ale modlił się wtedy o rozum dla dzieci i przekonany był, że sprawiedliwy, lecz dobry Bóg nie pozwoli im zejść z właściwej, słusznej drogi. Wymagał tylko ich pomocy, gdy robota w gospodarstwie spiętrzała się, w czasie żniw na przykład, albo gdy któreś ze zwierząt chorowało, gdy grad, wichura lub inny jakiś żywioł zagrażały ich wspólnemu bezpieczeństwu i zdrowiu. To – na szczęście – zdarzało się rzadko, więc młodsze rodzeństwo chodziło własnymi ścieżkami.

Trzeba by jeszcze wspomnieć o Selinowym Stefanku, „Stefanku-psiajusz”, który z Selinami przyjechał do Olchowca, choć prawdę mówiąc niewiele jest o nim do opowiadania. Nietęgi w myśleniu od urodzenia, spokojny, powolny, robotny, panu Andrzejowi i jego rodzinie oddany bez reszty, od lat już kilkunastu u nich pracował i bardziej za syna trzeciego był niżli za parobka. Wypić, co prawda, lubił czasami, ale tylko przy sobocie, gdy całutką robotę skończył, zwierzęta oporządził, maszyny schował, a i wtedy upijał się po cichu, spokojnie, też jakoś tak robotnie; bez pośpiechu, skwapliwie opróżniał butelkę za stodołą i zasypiał pod wieczór, nie wadząc ni ludziom, ni krzywdy nie czyniąc zwierzętom.

Nastało lato. Lipiec zapowiadał się suchy, gorący, dobra pora na przeprowadzkę, dobry czas do urządzenia sobie życia na nowo. Roboty jeszcze w polu nie było zbyt wiele, szkoła stała zamknięta na cztery spusty, ludzie chodzili senni i zgodni, skłonni do nawiązywania nowych znajomości, zwierzęta ociężałe, zmęczone upałem obojętnie przyglądały się porządkom u nowych właścicieli. „Jeśli porządni ludzie i w Jezusa Chrystusa wierzą – niechże sobie żyją tu u nas w spokoju”. „Jeśli dadzą jeść, świeżej koniczyny natną i owsa podrzucają, na czas rano i wieczór wydoją, do miski jaką kość od czasu do czasu włożą – niechże sobie żyją tu nas w spokoju”.

Gdy jako-tako zagospodarowali się w nowym miejscu, gdy urządzili dom swoimi sprzętami, gdy ojciec z Wiktorem mniej więcej zinwentaryzowali dobytek i ustalili kolejność prac na czas bliskich żniw, gdy matka zajrzała we wszystkie kąty i zaglądnęła we wszystkie garnki pozostawione przez Macieja, w jego stare skrzynie i szafy, gdy Krzysztof rozpakował swoje książki, płyty i kasety, Danusia swoje kuferki, pamiętniki i listy – nastął czas poznania okolicy. Zwiększając dzień po dniu promień wypraw, wydłużając czas wędrówek, rozwijając

się jak kłębek włóczki, dotarli któregoś dnia na kraniec placu targowego, nad wyschnięty teraz strumień, z ledwie resztką wilgoci w spękanym gliniastym dnie. Odgarniając splątane gałęzie głogu, przekradając się przez leszczynową wrogą zapórę, przechodząc w końcu ostrożnie przez las ogromnych pokrzyw odkryli niepozorny, zamknięty na głucho dom.

Odkryli stary kalwiński zbór.

"Pójdź chłopcze w las, w ten głuchy las!

Wesoło będzie płynąć czas.

Przedziwne czary roztoczę w krąg,

Złotolitą chustkę dam ci do rąk".

Eustachy Kubera, emerytowany naczelnik poczty

... Tylko ja, moja żona, i jeszcze Henryk z siostrą Martą, którzy na rozstajach sklep i restauracyjkę skromną prowadzą. Poczmiistrz, krawcowa, sklepikarka i szynkarz; tak, tylko czworo nas się ostało, przy czym najmłodsza Marta już sześć dziesiątków zim nosi na swych plecach. A kiedyś była tu nas niemała gromada. Opowiadał mi ojciec, jak to przed wojną, co niedziela na Wieczery Pańskiej, znaczy na nabożeństwie, wszyscy się zbierali. Ze trzydzieści osób, starzy i młodzi. Odświętnie ubrani, po nabożeństwie schodzili się na mały poczęstunek, raz u tego, raz u tamtego. Pastor nazywał się Liberka, dojeżdżał z Radzyna, gdzie probostwo było, prezbyterem zaś, czyli starszym gminy w Olchowcu był mój ojciec, przed nim jego ojciec, znaczy mój dziadek, jeszcze wcześniej brat pradziadka, dalej to już nie wiem, ale widać, że rodzinny był to – że tak powiem – urząd. O tak, do wojny Jednota reformowana silna na Pogórze była; i zborów stało kilka, dobrze utrzymanych, zadbanych, i wiernych niemało, obywateli zacnych, którzy i boskie, i cesarskie... z sąsiadami żyli zgodnie, czy to z katolikami, czy unitami, czy starozakonnymi. Kalwini dużo nie mówią, radości na zewnątrz zbyt wiele w nas nie ma, pustych i głośnych zabaw nie lubimy, nie obnosimy się na zewnątrz z dobrymi uczynkami (wierząc, że tylko wiara usprawiedliwia przed Bogiem), ciężko pracujemy i uczciwi z nas ludzie, więc inni ludzie nas szanują, choć się może do nas nie garną.

W czasie wojny zmieniło się wszystko, znaczy: ci, co nie zginęli, wyjechali, ci, co nie wyjechali, zamknęli się w sobie, w Biblii znajdując wszystko to, czego nie było wokoło. Czy nam czego więcej trzeba? Modlić się możemy gdziekolwiek, do indywidualnych rozmyślań o Bogu dobre jest każde miejsce – dom, las i łąka, alejka w parku i ścieżka nad rzeką. Huk wody spadającej ze stromej turni na Górze i cisza poranka w miasteczku, gdy idziesz do

pracy, a śnieg skrzypi pod nogami, jednak są dobre do rozmowy z Panem. Probostwo w Radzynie upadło, nasz zbór poszedł w ślad za nim (jak księżyc przy słońcu Olchowiec zawsze świecił odbitym blaskiem), nabożeństw już nikt potem nie odprawiał, więc na większe święta, znaczy Narodzenie Pańskie, Wielki Piątek i Zmartwychwstanie, Zesłanie Ducha Świętego jeździliśmy potem z żoną do Łodzi i Warszawy. Ze swojej konfesji rozgłosu nie robiliśmy i tylko czasami spotykaliśmy się w czwórkę na czytaniu Pisma, na naszym „studium biblijnym”, ale później nawet i ono umarło. Zamknąłem dom modlitw na kłódkę, wynosząc wprzód z Henrykiem i zabezpieczając to, co się jeszcze do zabezpieczenia nadało, potem pilnowałem już tylko, czy kłódki ktoś nie wyłamał lub szyby nie wybił; a bo to trudno ogień zaproszyć albo zbezczęścić miejsce Bogu wcześniej wiernie służące? No i zabytek to przecie cenny, więc jak, na zmarnowanie zupełne zostawić?

I tak było, tak było do czasu, aż zjawił się u nas Andrzej Selin z żoną, dwoma synami i córką, który w majątku za rzeką, opuszczonym przez starego Macieja Rybarczyka zaczął gospodarzyć. Niektórzy mówią co prawda, że Maciej chałupę, ziemię i resztę dobytku w karty przegrał, ale ja w to nie bardzo wierzę; bardziej wiarę dam temu, że Rybarczyk na stare lata zatęsknił za łatwiejszym życiem i kiedy nadarzył się kupiec, w mig z okazji skorzystał (czy tak było, czy inaczej – nie dziwi mnie to zbytnio, lekkoduch był z niego). Andrzej Selin, który ewangelikiem-reformowanym – jak i my – okazał się być (a z nim rodzina jego i jego robotnik), od razu do rzeczy się zabrał i nim jabłka zaczerwieńczyły się w sadach, nim olszyna nad rzeką pożółkła, nim dzieci na dobre usadowiły się w szkolnych ławkach, już nasz stary dom boży był wywietrzony ze złego zaduchu, kamienny ołtarz i posadzka lśniły wyszorowane, ściany pachniały, jaśniały, już nie szarobure, a pięknie pobielone, tą niebieskawą białością, jaką tylko wapno pod Górą ukopane daje, w oknach można było zobaczyć swoje odbicie, framugi i słupy na ganku polakierowano na zielono, na ścianie zawisł stary, ale odmalowany i na nowo solidnie pozbijany krzyż (przez kilkanaście lat skrywała go Henrykowa skrzynia w komorze za sklepem), wyrzucono pokrzywione i połamane ławki, w ich miejsce wstawiono proste, sosnowe krzesła. Andrzej z tym swoim starszym, Wiktorem, z pomocą murarza z doliny otynkowali dom na nowo, połatano dachówkę, skoszono suchą zatechłą trawę na placu, w końcu młodsze dzieci Andrzeja, znaczy Danuta i Krzysztof, wyplewiły chwasty pod płotem i naznosiły kwiatów do zboru (to nie bardzo mi podobało, ale cóż, stary już jestem i nowe porządki nie bardzo już dla mnie).

Spyta ktoś, co na to wszystko my, znaczy: naczelnik poczty, jego żona mistrzyni krawiecka, właścicielka sklepu, jej brat restaurator. Przyznać muszę, z początku te porządki Selinów nie bardzo mnie przekonywały. Czy to warto, na tych parę lat? Przemówiła mnie

Marta, że to nie dla nas, a dla tych następnych, co po nas przychodzą, więc przyłączyliśmy się także i my. Bardziej przydatni byli Henryk i Marta, bo młodszy, ale ja też, ja też pomagałem – krzesła nosiłem, do Radzyna po świece jeździłem i podłączenie prądu na powrót załatwiłem, a Heluś, moja żona, nawet firany do okien poszyła. Radość nas w końcu taka ogarnęła, wesele takie i podniecenie, że nawet do ojca na cmentarz poszedłem, żeby mu o tym wszystkim powiedzieć (niezupełnie w zgodzie z rozumem i wiarą). Opodatkowaliśmy się wszyscy dobrowolnie na cele kościelne, a wyznał mi Selin, gdy już prace ku końcowi się miały, że trochę pieniędzy dostał ze swojego Leszna, trochę z Aliansu Kościołów, pewną też sumkę prezes Konsystorza przysłał.

W końcu nadeszła niedziela, na którą wszyscy czekali.

Dzięki Ci chcę składać całym sercem, Panie, o wszystkich Twoich cudach opowiadać pragnę!

Będę się cieszył i radował Tobą, na cześć imienia Twego, o Najwyższy, będę grał i śpiewał.

Bo zostali odtrąceni wrogowie moi, upadli i znikli sprzed Twego oblicza.

Ty bowiem przyznałeś mi rację, wziąłeś mnie w obronę i zasiadłeś na tronie jak sędzia sprawiedliwy...

Spać już od świtu nie mogłem, a Helunia proszki na uspokojenie calutką noc brała. Z Warszawy, z ulicy Solidarności, przyjechał wikary, ksiądz Augustyn Makowski, pobłogosławił nam wszystkim, którzyśmy do rezurekcji kościółka rękę przyłożyli i odprawił pierwsze nabożeństwo po latach (następne za dwa miesiące i tak już miało być odtąd na stałe), a oto lista wiernych, którzy w tym historycznym – ku chwale Pana Boga naszego, Jezusa Chrystusa – wydarzeniu uczestniczyli: Kubera Helena, Kubera Eustachy, Selin Krystyna, Selin Andrzej...

– Czy słyszysz, mój ojczy, ten głos w gęstwinie drzew?

To król mnie wabi, to jego śpiew.

To wiatr, mój synku, to wiatru głos,

Szeleści olcha i szumi wrzos.

Od września Danusia zaczęła chodzić do (jedynej w liceum) klasy trzeciej, a Krzysztof zapisał się do jednej z dwóch klas maturalnych. Pierwsza nieufność szkolnych kolegów i koleżanek szybko ustąpiła nieposkromionej wręcz ciekawości (Olchowicz to mała miejscina...), której aromatu dodały pierwsze lekcje religii... oczywiście przez młodych Selinów ostentacyjnie zbojkotowane. Rodzeństwo trzymało się z boku i na nic zdały się próby

(zrazu nieśmiała, z czasem coraz bardziej natarczywie) wciągnięcia ich w rozległy bulgoczący wir spraw szkolnych, klasowych, koleżeńskich, sercowych nawet. Nie bardzo wydawali się zainteresowani tym wszystkim, czym zwykle żyje szkolna społeczność i z czasem przyłgnęła do nich łątka „dziwaków”, „odludków”. Niewybredne przezwiska „kalwini”, „husyci”, a czasem i „Szwedy” też się przydarzały, więc część braci szkolnej zaczęła utożsamiać słowo „odludek” ze słowem „kalwin” albo słowo „dziwak” ze słowem „Szwed”, co nie wyglądało zanadto ekumenicznie ani też europejsko. Cóż począć, młodzież... Nawet ksiądz dobrodziej prowadzący w szkole lekcje religii machnął w końcu ręką. Odbyły się lekcje objaśniające, kto, co i dlaczego; umyślił sobie nawet ksiądz zorganizować dla starszych uczniów powszechną, gromadną wycieczkę do zboru, ale w końcu uznał, że nie należy z tą *ekumenią* przesadzać i zaprzestał agitacji na rzecz zbliżenia różnych chrześcijańskich – niezupełnie przecież równych sobie – religii.

Mniej wytrwali pozostawili w końcu „brata i siostrę” w spokoju, ale kilka panienek, w tym grono przyjaciółek z klasy Danusi, wcale nie zamierzało rezygnować z zastawienia siodeł na nowego, tajemniczego i wcale przystojnego kolegę. Uzgodniły przy tym, że jeśli którejś uda się w końcu zagiąć parol na „kalwina”, inne nie będą jej potem przeszkadzać ni wchodzić jej w drogę – przeciwnie – przyrzekły sobie wzajem pod straszną groźbą, że będą takiej szczęściarce pomagać, pielęgnować jej uczucie, przede wszystkim zaś kryć ją, gdy będzie trzeba, przed wścibską rodziną i małomiasteczkową oraz małoszkolną gawiedzią.

Krzysztofowi ani w głowie były podchody pod jego osobę. Uśmieł się serdecznie, gdy Danusia przekazała mu pachnący list jednej ze swych nowych koleżanek (ofuknął ją jednak trochę i umówili się, że pomocnicą listonosza jednak w Olchowcu nie będzie; „Instytucja pana Kubery – naszego nowego znajomego – ma monopol, nie możesz robić jej konkurencji. Pamiętajsz poza tym, co ustaliliśmy jeszcze w Lesznie? Że ani mru-mru ty o mnie, a ja o tobie, nikomu? Choćby nas na męki brali, jak Husa”). Od tej chwili Danusia stała się dla koleżanek z klasy zupełnie bezużyteczna. Z ulgą przyjęła fakt, że już nie jest obiektem zainteresowania; odpowiadało jej to zresztą, bo z natury nieśmiała i od ludzi stroniąca, źle znosiła szkolną sensacyjność swojej i brata osoby. Dużo czasu poświęcała pisaniu dziennika, co tydzień słała listy do swych dawnych (opłakiwanych jeszcze skrycie) przyjaciółek z Leszna, sporo czasu spędzała pomagając matce założyć rabaty przy domu i pielęgnując mały jesienny gazon przed wejściem na kościelny ganek. Bolały ją jeszcze trochę przezwiska, docinki, ale i to przeminało, gdy spostrzeżono, że albo uśmiecha się niezdarnie i kręci głową smutno na głupie zaczepki, albo wybucha głośnym, niepohamowanym śmiechem, słysząc obraźliwe słowo.

Krzysztof perspektywę przeprowadzki w roku maturalnym przyjął zrazu niechętnie, wręcz wrogo; w końcu sam siebie przekonał, że t a k widocznie być musi, skoro t a k ojciec postanowił i że ręka Boża tym wszystkim kieruje. Nie boczył się więc na ojca, ale też nie okazywał z powodu tego *Go South* – jak mówił – zbyt wielkiej radości. Okolica: miasteczko, rzeka, dolina, a szczególnie groźnie wyglądająca, wyrastająca tuż przed oczami, często zamglona Góra spodobały mu się jednak; nowe gospodarstwo ojca też było niczego sobie, a mała nadrzeczna przystań ukryta w olchowym zagajniku to było coś zupełnie, ale to zupełnie wyjątkowego, czego na pewno zazdrościliby mu wszyscy jego dawni znajomi. Szkoła w Olchowcu mile go zaskoczyła; Krzysztof bał się trochę, czy w niedużym, prowincjonalnym mieście zdoła się dobrze przygotować do jakichś – nie wiedział jeszcze tylko jakich – studiów i czy ta „prowincja nie ogryzie go do kości” i „nie wysysie z niego wszystkich życiodajnych soków”. Szkoła była jednak ogólnie w porządku, poza tym w miasteczku były dwie księgarnie, dobrze zaopatrzona biblioteka, kino, jakiś klub, kawiarnie. W klubie – co nie uszło uwagi chłopaka – sobotnimi wieczorami brzdąkali smętnie na akustycznych gitarach jego rówieśnicy, a smutna, ładna dziewczyna śpiewała smutne, ładne piosenki (repertuar mieli staromodny, trochę Cohena, jakiś Brel, Grechuta, nawet Demarczyk; rzewnie, trochę usypiająco, ale był w tym chyba sens). W sumie – wyglądało na to, że w miasteczku da się jakoś żyć. Leszno – prawdę powiedziawszy – trochę go już znudziło, opinia szkolnego *bon vivanta*, na jaką pracował przez dwa ostatnie lata, ciążyła mu już trochę, od czasu, gdy inaczej zaczął patrzeć na siebie i świat wokół. *Sturm und drang* miał już chyba za sobą; ekscentryczne wysoki i szaleństwa, które tak złościły ojca, teraz zdawały mu się szczeniackim zachowaniem. Coś w nim się zmieniało i to coś zaniepokoiło Danusię, czy aby jej brat czasem czego w ukryciu *nie bierze*. „Nie, moja droga. To byłoby banalne. Banalne i płaskie. Czas pomyśleć poważniej o życiu i estetykę zamienić w etykę” – mówił do siostry i od chwili przyjazdu na Pogórze czuł, że coś unosi się w powietrzu, nie wiedział tylko jeszcze – co. Może Bóg, o którym ciągle czyta matka, może Bóg, który idzie z ojcem za pługiem (wedle jego słów) coś mu mądrego podpowie? Na razie postanowił pracować nad sobą, być dobrym dla ludzi, zwierząt i obserwować swoje nowe zachowanie (taka introspekcyjna-wiwisekcja wydawała mu się nawet dość ciekawa), obserwować siebie i świat wokół, i czekać...

Odkrycie starego zboru, a potem radość ze wspólnego z obcymi ludźmi wysiłku przy jego „reaktywacji” (bardzo mu się to określenie podobało) zaskoczyły go jednak i zastanowiły. Do tej chwili traktował wiarę rodziców jako coś dalekiego, nie swojego, obcego (na pewno nie to miał na myśli, gdy mówił do siebie: „czekać”). Rodzice nie przymuszali ich do religijnych

praktyk, do studiowania Pisma, posłali ich oczywiście w przepisany czas do konfirmacji, i spotkania grupy przedkonfirmacyjnej to był ostatni głębszy kontakt rodzeństwa z kościołem i jego nauką; w domu o sprawach religii nie rozmawiano zbyt wiele i tylko czasami ojciec surowo spoglądał na młodsze swe dzieci (szczególnie Krzysztofa), sięgając w chwilach trudnych po stosowny cytat. Najchętniej wspierał się w takich razach Biblią: „Przeklęty, kto nie dochowa słów tego Zakonu, aby je spełnić”, nie gardził też radami Katechizmu: „Czy jesteś w stanie (‘synu’ – tu wplatał zawsze: ‘synu’ i podnosił głos) sprostać tym wymaganiom do końca?”, sam sobie na to pytanie odpowiadając: „Nie, bo jest we mnie naturalna skłonność do nienawiści Boga i bliźniego”. „To z listu do Rzymian, mój synu”. Znów ‘synu’ i ten podniesiony głos. Czasami matka czytała głośno jeden z fragmentów Pisma, czasami w niedzielę Krzysztof szedł razem z rodzicami, bratem, siostrą i Stefanem do kościoła (nabożeństwa odbywały się w Lesznie u „Świętego Jana”); śpiewali razem psalmy, słuchali pastora, ale gorące, twarde słowa proboszcza nie znajdowały żywej ziemi, by móc zakiełkować. Tutaj, w Olchowcu, pierwsze nabożeństwo w odremontowanym kościółku mocno go przecież poruszyło. Właściwie nie słuchał wcale kazania pastora, w czasie śpiewania psalmów ruszał tylko ustami; błędził wzrokiem po odnowionych ścianach i wyobrażał sobie, że wokół niego siedzą teraz ci wszyscy, którzy przez dziesiątki, a może setki lat modlili się tutaj do Boga. W końcu uczepił się wzrokiem krzyża i tkwił tak nieruchomo, aż Danusia musiała szarpnąć go za ucho: „Usnąłeś? Chodź, idziemy na rozstaje, na obiad, pan Henryk przygotował niespodziankę. Nie chce się zdradzić ani jednym słowem. Przypuszczam, że to będzie...”. Wieczorem zabrał ukradkiem Biblię ze stolika matki; spała już i tylko mruknęła przez sen, gdy przymykał drzwi: „Jakie to piękne, jakie to było piękne”. Od tego dnia zaczął czytać Pismo regularnie. Jednego dnia Stary Testament, drugiego Nowy. Po kawalku. Do tego solidna garść faktów. Do tego – w uzupełnieniu – paru myślicieli.

Po dwóch miesiącach takich studiów postanowił zmierzyć się z przeciwnikiem.

*"Gdy wejdiesz, chłopcze w ten głuchy las,
Ujrzysz me córki przy blasku gwiazd.
Moje córki nucąc płasają na mchu,
każda z mych córek piękniejsza od snu".*

Olga Tochman, dyrektorka liceum w Olchowcu

Listopad nastraja mnie tak, jak większość ludzi: jestem poirytowana, nerwowa, źle sypiam, podnoszę głos bez powodu, szkolny hałas przyprawia mnie o mdłości (mam wtedy okropny

ból głowy), przy każdym pogorszeniu pogody (a ona pogarsza się stale) łamie mnie w kościach, codziennie rano odzywa się stary, wierny przyjaciel – wrzód dwunastnicy, usadowiony gdzieś bezpiecznie (dla niego) przy zjeździe z żołądka, wieczorami moje biedne łądzwie przypominają mi, że skończyły wraz ze mną dobrze, o, dobrze ponad pięćdziesiąt lat. Nie odbiegam – jak widać – zanadto od normy, choć moi uczniowie, a również niektórzy młodszy koledzy i koleżanki z pokoju nauczycielskiego byłiby zapewne innego zdania. Natasza, moja siostra, uważa, że w listopadzie powinnam mieć okres ochronny. Aneczka, moja druga siostra, zaniepokojona stanem moich nerwów parzy mi gorzkie ziółka i przed spaniem przynosi kieliszeczek orzechowej nalewki do łóżka. Leżąc w ciemnościach, słuchając skrzypienia starego drewnianego domu i czekając cierpliwie na przyjście snu (który i tak nie przyniesie spodziewanej ulgi), obmyślam złośliwe wywieszki na drzwiach dyrektorskiego gabinetu: „Zamknięte do odwołania z powodu ogólnego obrzydzenia”. „Dziś pani dyrektor nie przyjmuje. Nikogo. Dlaczego? Dlatego”.

Dlaczego zatem ten chłopak właśnie w listopadzie umyślił sobie podjąć walkę z wszystkim i ze wszystkim? Należałoby może postawić inne, zasadnicze, p i e r w s z e pytanie: dlaczego to właśnie Selinowie kupili gospodarkę po tym nieudolnym karciarzu Macieju? Dlaczego akurat oni, a nie ktoś inny, zwyczajny, jak każdy? Kto miałby zwyczajne, normalne dzieci, z którymi kłopoty zaczynają się i kończą na paleniu papierosów w parku nad rzeką, na notorycznym łapaniu dwój z fizyki i chemii, na noszeniu kolczyka w pępku albo na języku. Takie pytania zahaczają jednak o sferę metafizyki, a jak przed laty wkładał nam do głów pewien młody filozof, który w olchowieckim liceum przez parę miesięcy uczył matematyki – metafizyka to sprawa mętna, nieczysta i prawdziwych racjonalistów rzecz niezbyt godna.

Krzysztof i Danuta... cóż, nie mogę kłamać – dobrzy z nich byli uczniowie; szczególnie chłopak od razu zwrócił uwagę nas wszystkich, chociaż trzymał się na uboczu, nie przyłączał do żadnego kręgu, na lekcjach był mało aktywny i sam nie garnął się do odpowiedzi. Zapytany, miał jednak zwykle przygotowaną przemyślaną odpowiedź i czuło się, że jego pozorny chłód, jego dystans i nieobecność skrywają niepoślednią osobowość i umysł ciekawy świata. Siostra, Danuta (skryta, małomówna – jeszcze bardziej niż brat), nie była może tak bystra, tak lotna jak on, ale wyglądało na to, że da sobie w szkole radę. Jedna rzecz w niej niepokoiła – dziewczyna wpadała czasami w stan, jak by to nazwać? Może: euforii? Nie, nie euforii, raczej: pobudzenia. Śmiała się wtedy nieopanowanie, bez umiaru, głośno, by zaraz za chwilę, za sekundę, za moment uspokoić się, wyciszyć, zagasnąć, zastygnąć. Jej brat, zdaje się – tak samo. Rodzinna przypadłość?

Cóż – prawdę mówiąc – miałam z początku nadzieję, że oboje wniosą w naszą, trochę senną szkołę nieco ożywienia – zawsze tak się dzieje, gdy przybywa ktoś nowy, ktoś ciekawy, inny. Cóż, liczyłam na niego, że poruszy kijem tę stojącą wodę. Poruszy kijem, ale – na Boga – niech jej nie wylewa!

Na pierwszy ogień poszedł staruszek, ksiądz proboszcz.

„Gdzie – ojcze dobrodzieju – w Piśmie mówi się o czyścicu? (któregoś dnia Krzysztof wtargnął do klasy, chociaż wcześniej lekcje katechezy omijał dużym łukiem). Czy to – proszę ojca – Chrystus nas naucza o czyścicu czy może to prorocy w Starym Testamencie czyściec opisują? Gdzie konkretnie, w którym to wersie i w której to księdze? Bardzo jestem ciekaw. Poszukajmy razem. Cóż my tutaj mamy? Mamy tutaj Biblię. O, to dobra Biblia, katolicka, ma biskupie *imprimatur* i pieczęć z podpisem. Nie trudźmy się, nie ma, nic w niej nie ma o stanie pośrednim. Więc może jest otchłań? Słyszałem kiedyś, że nieochrzczone dzieci, które umarły, idą do o t c h ł a n i. Jeden z papieży tak twierdził, chyba któryś Pius. Co to jest otchłań? To też jakiś czyściec? Do czyścica maleństwa? Miałem małą siostrę. Zmarła przed ochrzczeniem. Mam jej szukać t a m?

... Dlaczego Kościół katolicki nie przestrzega hebrajskiego porządku ksiąg Starego Pisma? Dlaczego, ojcze dobrodzieju? Cóż w nim jest takiego złego?

... Czy poza Kościołem katolickim nie ma dla ludzi zbawienia? ‘Jeśli ktoś nie stanie się członkiem Kościoła Rzymskiego, to choćby za Chrystusa krew przelał, czeka go wieczne piekło’. Orzekł Sobór Florencki. ‘Choćby i krew przelał’???

... Co mówi Drugie Przykazanie Boskie? Nie, nie to! Drugie Przykazanie w Biblii Izraela, ojcze dobrodzieju. Mówi – uwaga, czytam – mówi ono tak: ‘Nie czyn sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze i na ziemi w dole i tego co w wodzie, pod ziemią! Nie będziesz się im kłaniał i nie będziesz im służył, gdyż ja, Pan, Bóg twój, jestem Bogiem zazdrosnym, który karzę winę ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą, a okazuję łaskę do tysięcznego pokolenia tym, którzy mnie miłują i przestrzegają moich przykazań’. Hm, trochę ostro napisane, zbyt ostro, przyznaję, zbyt ostro. Inne czasy były. Ale to jest prawdziwe D r u g i e Przykazanie. Czemu go nie ma teraz w Dekalogu? Waszym Dekalogu? Poświęciliście BOGA na ołtarzu sztuki!? Zmysły ponad wiarą? Chętnie pokażę ojcu listopadowo-grudniowy numer naszej ‘Jednoty’, jest tam więcej o ‘ikonoklazmie’”.

Drugi dał głowę wikary Morawiec („Co tu robisz, mój synu? To lekcja religii dla trzeciej, nie dla czwartej klasy...”).

„Usiądę na brzeżku i tylko posłucham... O, uczynki, świetnie, rozmawiacie o dobrych uczynkach? Można o coś spytać? A wiecie dlaczego nasze dobre uczynki nie mogą nas choćby w części usprawiedliwić przed Bogiem? Ponieważ – wyjaśniam księżu katecheto – sprawiedliwość, która mogłaby się ostać przed sądem, musiałaby być w pełni doskonała, całkowicie zgodna z Prawem Bożym. Tymczasem – uwaga! – nawet najlepsze uczynki w tym życiu są zawsze niedoskonałe i skażone grzechem. Trudno się nie zgodzić... Ale, ale, czy spełniając dobre uczynki, nie zdobywamy jednak jakiejś zasługi, skoro Bóg chce nas wynagrodzić w tym i w przyszłym życiu? Już mówię: nagrodę otrzymujemy n i e dzięki zasługom, ale z łaski Boga. Wybierając wiarę, wybieram zbawienie. To prawdziwy sens predestynacji, z której kpi wasz Kościół! ...Dwudziestego grudnia zapraszam braci katolików na nasze jasełka. Dwudziestego przypadnie w niedzielę. Drzwi otwarte o godzinie szesnastej, początek jasełek pół godziny później. I, i czy można jeszcze o coś spytać? Księżu wikary, taka mnie rzecz gryzie i tak sobie dumam: czy chleb i wino stają się rzeczywistym ciałem i krwią Jezusa Chrystusa w czasie Wieczerzy Pańskiej? I wiesz co, drogi księżu katecheto? Myślę, że nie! Jak podczas Chrztu woda nie zmienia się w krew Jezusa Chrystusa i sama nie oczyszcza nas z grzechów (zgódźmy się – nie zmienia), lecz pozostaje jedynie znakiem i zapewnieniem danym od Boga, tak i chleb poświęcony podczas Wieczerzy nie staje się ciałem Chrystusa, chociaż zgodnie z naturą sakramentów i ich sprawowaniem (o sakramentach proponuję porozmawiać innym razem) nazywany jest Ciałem Chrystusowym. Na czym więc polega różnica między prawdziwą Wieczerzą Pańską a – przepraszam obecnych – katolicką Mszą? Wieczerza Pańska (ta prawdziwa) jest – księżu katecheto – zapewnieniem o całkowitym odpuszczeniu naszych grzechów dzięki ofierze Jezusa, jaką On sam – r a z j e d e n i r a z n a z a w s z e – złożył na krzyżu... Tymczasem według nauki o Mszy, żywi i umarli dostępują odpuszczenia grzechów przez mękę Chrystusową, jeśli Chrystus jest jeszcze c o d z i e n n i e ofiarowywany za nich przez kapłanów. Ponadto zaś – będąc cieleśnie obecny pod postacią chleba i wina – w nich też powinien być uwielbiany. Msza (tak pojmowana) jest więc w gruncie rzeczy zaprzeczeniem jednorazowej ofiary i męki Jezusa Chrystusa i godnym potępienia bałwochwalstwem. Bałwochwalstwem! No, co tak na mnie wszyscy patrzycie? *Sola fide. Sola gratia. Sola Scriptura. Soli Deo gloria.* Tylko wiara. Tylko łaska. Tylko Pismo. Tylko Bogu chwała nasza. Skąd więc u was ci święci i ta cześć dla Marii? (tu przeciągnął strunę i sam wiedział o tym). Już siadam, już siadam i zaczynam słuchać. Zatem – księżu katecheto – sprawa pierwsza: uczynki... Co z nimi? Już słucham!”.

Przyszła kolej na mnie (wykładałam historię).

„Ilu heretyków spalił na stosie Kościół katolicki przez te wszystkie wieki? Czy pani dyrektor zechce podać liczbę? Chociaż przybliżoną. Dlaczego tak naprawdę wygnano z Polski arian? Kto to był ów Ariusz? Czy Polska ma prawo tak chwalić się swoją tolerancją, jeśli pominąć Wiek Złoty? Kiedy spalono na stosie ostatnią czarownicę? Proszę opowiedzieć o prawdziwych przyczynach wystąpienia Lutra. Papieże w Awinionie żyli podobno niezwykle rozpustnie... Czy za antysemityzm nie jest aby czasem odpowiedzialny Kościół katolicki? Była pani w katedrze sandomierskiej? A zna pani obraz Hieronima Boscha? Ten, na którym Żydzi otaczają Chrystusa, gdy niesie krzyż na górę Golgotę. Zna pani ten obraz?”

... Nawet spadł jak jastrząb na biedną Joannę:

„Ten preparat jest chyba uszkodzony, widzę pod mikroskopem tylko jakieś plamy. Poproszę o inny. A propos – pani profesor – jak długo pali się człowiek? Czy umiera od razu, czy cierpi na stosie, zanim śmierć go porwie?”

I tak przez całą zimę.

Nie wiadomo, jak potoczyłoby się dalej to zmaganie Krzysztofa ze wszystkim i wszystkimi wkoło, czy i jemu nie przydarzyłoby się ponure *auto da fê*, gdyby... nie poznał Justyny. Sprawa nie uszła mojej uwagi, obserwowałam go przecież uważnie. Joanna (moja przyjaciółka), jako wychowawczyni klasy trzeciej (to klasa Justyny i także Danusi), była na bieżąco, zatem i ja również.

Justyna – w opinii kolegów nauczycieli – była w szkole jedną z najładniejszych dziewczyn, może najładniejszą. Wśród jej przyjaciółek ładnych buzi nie brakło: Julia, mała, czarnowłosa, zawsze roześmiana, żywa jak iskierka, Gośka – wysoka, z rudymi lokami, po zdjęciach do filmu, dalej: Karolina, Weronika, Maja. Ale jednak ona... Delikatna, cicha, subtelna. Głos miała ciekawy: chropawy i niski; tym niepokojącym głosem śpiewała piosenki w zespole, który założyła z dwoma chłopakami z klasy. Niewiele miało to wspólnego z... hip-hopem i tym drugim: rockiem; przeciwnie – Justyna i jej gitarzyści śpiewali poezję, sami pisali teksty, układali muzykę, mieli w repertuarze Cohena, Dylana, Woźniaka (do których – trudno ukryć – mam spory sentyment). Podobali się, słuchano ich chętnie (trochę przez przekorę?), więc i ja zapraszałam ich czasem, by zagrali coś i zaśpiewali na szkolnych akademiach, wieczornicach, balach.

Gdy stali się parą – zazdrościli wszyscy. Bardziej jej nawet niż jemu. Bo chociaż Krzysztof miał opinię dziwaka, nawet trochę gbura, te jego religijne ekscesy przydały mu sławy, młodojeckiej sławy – więcej – podobał się bardzo ten „młody Radziwiłł” wszystkim młodym damom. Smukły, nie do końca jeszcze uformowany, niezbyt jeszcze męski, długie jasne włosy, „ach, zielone oczy! oczy jak toń w stawie”, ubrany niedbale, swobodnie, zwykle w

czarnym swetrze, poruszał się miękkimi kocimi krokami, nie szedł, a się skradał. Rzucił swoimi prowokacyjnymi zaczepkami wokoło: o religii, o sztuce, o książkach, filozofii, seksie (to wiem od Joanny). Zbierał się przy nim zaraz krąg słuchaczy. Gestykulował, machał nerwowo długimi rękami, wybierał sobie kogoś i męczył go srodze. Nie miał z kim się mierzyć i wiedział to dobrze.

Gdy stali się parą – od razu mówiło się, że: „na całe życie”. „Moja pani dyrektor – to na całe życie. Jak oni do siebie pasują, jacy oni piękni. Filozof, poetka. Zobaczy pani – to na całe życie”. Rzeczywiście zaczęto szeptać nawet i o ślubie. Och, ci ludzie, ludzie... „Po szkole, rzecz jasna, po skończeniu szkoły. Tyle, że on kalwin, ona katoliczka. Tu biskup potrzebny. Jechać do biskupa!”.

Gdy stali się parą – aktywność naszego Krzysztofa jednak co nieco osłabła. Oczywiście – złowroga matura wyjrzała w końcu zza horyzontu i wszyscy z jego rocznika, i on sam także, rzucili się gorączkowo do książek. „Chłopi’, czytałaś tych ‘Chłopów’? O czym jest ta książka? Czy ma coś wspólnego z Samoobroną?”. „Azotan octowy, Boże, jak otrzymać azotan octowy? Na diabła mi wiedzieć o tym azotanie...”. „Rubikon, kto przekroczył ten cholerny Rubikon i po co? I kieeeedy?”. „Wzór na ubytek masy, hej, czy ktoś zna wzór na ubytek masy w ruchu? Ubytek masy, nie ciała, ty głąbie!”. I tak dalej i dalej, znane to, normalne. Nie tylko to jednak, nie tylko matura. Nie miał już Krzysztof w sobie tej złości, tego nerwu, tej ikry, co dawniej. Myślałam: może po czasie bitew nadszedł czas podciągania taborów? Joanna miała na ten temat całkiem prostą teorię: „Wprowadziła w jego życie spokój i łagodność. Kobieta zawsze tonuje mężczyznę. No dobrze, jeśli nie nazywa się Lady Makbet. Zgoda, jeszcze Kleopatra. I wiesz, co myślę? Dobra dusza rzymsko-katolicka ukoj zbuntowaną, wzburzoną, duszę zreformowaną. Zobaczysz, zobaczysz – będzie jak baranek. Tak zblądzeni wracają na ojczyzny łono”.

– Czy widzisz, mój ojcze, tam tańczą wśród drzew

Srebrne królowny, czy słyszysz ich śpiew?

– O, synku mój, to księżyc tak lśni,

To księżyc tańczy wśród czarnych pni.

– Jestem przypuszczalnie owym dziadkiem do orzechów pana Hoffmana, a właściwie dziadkiem tajemniczego pana radcy. Włóż mi orzech w usta, najpierw pocałuj – o, tak – a teraz pociągnij mocno za włosy z tyłu. Au! Nie aż tak mocno. I co, orzech nie pękł? To znaczy, że nie jestem zaczarowany. Bo to był na pewno orzech Krakatuka. Nie będę więc

piękniejszy. I nie ma sensu robić siedmiu kroków w tył, co i lepiej, bo jeszcze nadepnąłbym na jakąś biedną polną myszkę, która na pewno nie jest okropną Mysibabą.

– Świnia, po co miałbyś robić te siedem kroków? Czy ja jestem maskarą z ogromną głową? Znam tę bajkę...

– Orzech nie pękł, ale rusza się ząb, czwórka. Dentysta! Czy jest tu dentysta?! Ha, ha, żartowałem, chwieje się, od kiedy wyrósł, taka już jego uroda. Maskarą? Nie, nie jesteś maskarą, zaś co do głowy... główkę masz śliczną, Justynko, aniele.

Siedzieli na podeście w przystani Selinów, jedli orzechową czekoladę i chlapali nogami w wodzie (wcześniej zdjęli oczywiście buty); woda w zakolu rzeki była ciepła, choć lato (już drugie lato Selinów w nowym miejscu) miało się ku końcowi. Wrzesień uciekał coraz szybciej, od paru dni wyraźnie przyspieszył, za tydzień Krzysztof miał zacząć studia w Radzynie, odległym od Olchowca o kilkadziesiąt kilometrów. „Nie martw się. Wyjeżdżał stąd będę w poniedziałek rano i wracał w piątek wieczorem, więc nie będziemy się widzieć tylko cztery dni w tygodniu, czasami nawet krócej. Poza tym, możesz odwiedzać mnie na stacji. Na następny rok będziemy tam już razem. Co konkretnie mam na myśli? Zobaczysz, Justynko”. Zdecydował się ostatecznie na studiowanie w radzyńskiej Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych. Ciągnęło go do Krakowa, na uniwersytet, matura poszła mu jednak nie tak dobrze, jak sobie wyobrażał. „Trudno, bywa. WSNH to była jednak kiedyś filia Ujotu, ma długą tradycję, rok temu obchodzili okrągłą rocznicę założenia szkoły. Nadal wykładają tam ludzie z Krakowa, poza tym Wydział Nauk Historycznych ma świetną opinię. Czytałem w ogólnopolskim informatorze. I – co najważniejsze – będę blisko ciebie. Po ukończeniu historii mogę wrócić do Olchowca i uczyć w liceum. Tochmanowa pójdzie na emeryturę i zwolni się etat. Wyobrażasz sobie? Ja – nauczycielem. A może pójdę na studia doktoranckie? Historia kalwinizmu na ziemiach polskich nie ma dobrego, syntetycznego opracowania; jest trochę prac, ale one nie obejmują naszego terenu...”

Ich związek okrzepł, wzmocnił się, nabrał sił, w czasie wakacji spędzali ze sobą prawie każdy dzień. Jeśli nie było pracy w gospodarstwie (co niestety zdarzało się rzadko) Krzysztof przychodził po nią już rano, tuż po śniadaniu, czasem jeszcze przed, zjadali coś wtedy naprędce u Nowików, potem włączyli się po sennym, nieco opustoszałym miasteczku, u Emilii pili mrożoną kawę i jedli truskawkowe i jagodowe firmowe lody, siedząc pod parasolami gapili się na zmęczonych gorącym mieszkańców („już drugie takie lato z rzędu, jak to wytrzyma ta biedna przyroda?”), przeglądali książki u stareńkiego bukinisty Piotra albo kolorowe pisma i albumy w księgarni braci Wurlitzerów i biegli nad rzekę, na rozstaje, do pana Henryka na mineralną z sokiem, podpiwek czy domową oranżadę, wstępowali do Marty

po lizaki i kruszone pierniczki, potem szli na „plażę”, w dolinę lub do lasu u stóp Góry. Któregoś dnia przyplątał się do nich mały żółty pies, lokator kępy krzaków koło ratusza i odtąd chodzili już w trójkę. Od czasu do czasu wstępowali do zboru lub do kościoła przy Rynku; przed Panną Świętą i świętym Franciszkiem, przed surowym krzyżem siedzieli cicho, nieruchomo w pustym domu bożym i wyobrażali sobie różne wydarzenia, które mogłyby ich w takim miejscu spotkać. Jeśli Krzysztof był zajęty w majątku, Justyna gwizdała na psa i wędrowała do chłopaka około południa, do domu albo wprost na pole, na łąkę pod lasem (brała wtedy z sobą bańkę z lekko osłodzoną zbożową kawą); pomagała trochę przy żniwach, kręciła się tu i tam, opalała się, leżąc pod stogiem, czytała, czasem próbowała pisać tekst nowej piosenki czy wiersza, albo schowana za stajnią przed słońcem, zbyt ostrym i dokuczliwym tego dnia, piła zimną wodę ze studni, od której bolały ją zęby, i obserwowała rodzinę Selinów: ojca i matkę, Danusię, Wiktora. Z Danuską miała dobry kontakt, choć czasami nie rozumiała jej zmiennych nastrojów, z Wiktorem nie zamieniła w ciągu lata więcej niż dziesięć zdań. „Tak, ten snopek trzeba postawić za tamtym. Stefanek pani... Stefanek pokaże”. „Nie, w polu nie piję kawy. Za bardzo się pocę”. „Tak, lubię muzykę”. „Nie, wierszy nie czytam; chyba że to psalmy”. Ojciec Krzysztofa – zdaje się – lubił ją odrobinę, w każdym razie już na nią tak surowo nie patrzył jak za pierwszym razem, gdy przyszli z Krzysztofem do „Maciejki” na niedzielne ciasto (tradycyjna nazwa ostała się u Selinów, jak widać); matka czasem głaskała ją po włosach i mówiła: „szkoda”. Któregoś dnia Justyna przemogła się i spytała: „Pani Selinowa, czego pani szkoda? Że nie jestem kalwinką? Tego pani szkoda?”. Nie usłyszała odpowiedzi, a ponieważ również Krzysztof nie wiedział, o co matce idzie – przestała ją pytać.

– Niektórzy w miasteczku uważają, że w tym lesie mieszka Król Olch. Mówią, że za zło, które przydarza się w mieście, on właśnie jest odpowiedzialny. Tak na przykład sądzi pan Piotr, nasz księgarz – Justyna rzuciła kruchą gałązkę do wody i obserwowała, jak patyczek usiłuje wydostać się z wiru, który tworzył się koło drewnianego pała wbitego w dno rzeki. – Wini go za straszny wypadek znajomego z Radzynia, radcy Baczko, który spalił się w łóżku, za śmierć – przed wielu laty – profesora Jakuba z naszego liceum, za dziwną śmierć pana Ksawerego, tego rzeźbiarza z doliny, i okropną śmierć jakiegoś Mikołaja spod Góry, za wygnanie księdza Michała, za choroby, za... Mówił mi – ściszyła głos – mówił mi kiedyś pan Piotr, że sam Bóg tu mieszka... I że to On. Czy Bóg może być zły? Nie wierzę – wyciągnęła stopy w wody. – Już mi trochę zdrętwiały. Biedny patyczek – chyba utonął. Piotr nie chodzi do kościoła i chyba w Boga nie wierzy. Podobnie jak ten pisarz z sanatorium, ten na wózku, który czasem do niego przyjeżdża mikrobusem. Słyszałam kiedyś ich rozmowę. Dobrali się w

korcu maku. Dwaj wstrętni ateusze... Większość ludzi jest jednak zdania – wróciła do poprzedniej myśli – że bardziej niebezpieczna jest Góra i czart oraz jego kamraci, co pod nią mieszkają. Gdy gotują zupę, wtedy nad szczytem snuje się ta okropna mgła. Czasami – zachichotała – łapia jakiegoś śmiałka, który zapuścił się zbyt głęboko w las i pogubił drogę i wrzucają go do tej polewki (robią tak jednak tylko z ludźmi o pustych, zimnych sercach). Mgła wtedy czernieje i robi się gęsta. Jak zupa. Jak zupa z wkładką – roześmiała się głośno – jakie ja bzdury plotę. A ja tam – potrząsnęła włosami – naszą Górę lubię...

– Bóg nie jest zły, Justyno – Krzysztof przerwał jej surowo – Bóg jest dobry i sprawiedliwy. To ludzie są źli. Źli i przewrotni. Nie wszyscy, nie tacy jak na przykład ty, ale większość. Przez pierwotny grzech utraciliśmy niewinność. Ale Bóg wcielił się w człowieka; jako Jezus Chrystus przeciął wieczność i stał się jednym z nas. To wielki paradoks i wielka tajemnica. Chronos spotkało się z Kajros. Wieczne, boskie połączyło się na chwilę z ludzkim, ziemskim. Nie wiemy, jak to było możliwe, nigdy nie zrozumiemy sensu tej chwili, tego misterium Ducha i Ciała. To rzecz wiary, nie rozumu – zaczął mówić szybciej. – I choćby mi ktoś udowodnił, że Jezus nie istniał, że przekaz biblijny to fałsz, że cuda to lipa, choćbym umysłem pojął, że to niemożliwe – Bóg-Człowiek, Wcielenie, Krzyż i Zmartwychwstanie – nawet wtedy nie utracę wiary, czy ty mnie rozumiesz? Wiara przecież nie może opierać się na faktach, na opinii słabych i niepewnych ludzi. Augustyn pisał, że naszą wiedzę o Bogu czerpiemy małą muszelką z wielkiego oceanu. W Bogu u t a j o n y m jest sens naszej wiary. Bo wtedy jest wiara, gdy nie ma pewności. I żaden Piotr, żaden pisarzyna, żaden inny człowiek...

Zerwał się wiatr i zakołysał gałęziami drzew. Liście olch i brzoź zatrzęsły się zaniepokojone, łoża, przestraszona, odsunęła się od nich. Drobne zmarszczki przecięły wodę w rzece. Zrobiło się chłodniej.

– Wiara. Wiara pierwszych chrześcijan. Nieskażona, czysta. Nie kalwińska i luterska, ani prawosławna, ani katolicka. Wiara i ogień. „Ogień. Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba, a nie filozofów i uczonych”. Nie etyka ani estetyka, jak myślałem kiedyś. Nie szukajmy piękna, nie gońmy za szlachetnością, nie szukajmy dobra. Dobro bez wiary to pusty humanizm. Piękno bez wiary to pusty estetyzm, to sztuka dla sztuki. Wierzmy, reszta przyjdzie sama. Zdecydować się i... skoczyć! „Albo-albo” Duńczyka... – urwał, podszedł do niej blisko. – Czy ty mnie rozumiesz? – podszedł jeszcze bliżej, poczuła jego oddech na twarzy.

Zaczerpnął nagle głęboko powietrza:

– Justyno kochana, czy... czy... będziesz moją żoną? To nie żarty, pytam zupełnie poważnie. Czy chcesz zostać moją żoną? Na dobre i złe chwile. Nie teraz zaraz, może za rok, za dwa lata. Będzie mi łatwiej tam w Radzynie czekać na ciebie. Już teraz myślę o tobie, jak o przyszłej żonie. Trudno mi nieraz, widzisz przecież i rozumiesz. A tak może będzie łatwiej? Zaręczmy się, teraz, tutaj. Czy chcesz...?

Wstał, zeskoczył z pomostu, zachwiał się, ale szybko uchwycił poręczy. Podniósł z ziemi dwie małe gałązki, zrobił z nich pierścionki i podał dziewczynie:

– Jeden jest dla ciebie, a drugi dla mnie. Od dziś za rok będziesz moją żoną. Zgadzasz się, kochana? Daj mi dłoń, jedyna.

Odprowadził dziewczynę do domu (szedł obok niej cały się trzęsąc, choć zimno nie było, trzymał ją kurczowo, jakby nie dowierzał, że oto ma już w swej dłoni rękę „narzeczonej”). Krzyknął do matki Justyny przez próg: „Zgodziła się wyjść za mnie. Zaręczyliśmy się! Przed chwilą. Justyna wszystko pani opowie. Przyjdę jutro, kochana”. Odwrócił się gwałtownie i pobiegł w dół, ku rzece. Wpadł na most, skręcił w prawo, ku „Maciejce”, biegł ścieżką wzdłuż brzegu, krzycząc do siebie, do wieczornych ptaków i otulonego w czapę księżycy: „Zaręczyliśmy się! Przed chwilą. Zaręczyliśmy się! Przed chwilą. Zaręczyliśmy się...” i na zmianę: „Będę miał żonę! Za chwilę. Będę miał żonę! Za chwilę. Będę miał żonę...”. W domu rzucił się bezwładnie na łóżko. Leżał bez ruchu dłuższą chwilę, wstał jednak i podszedł do okna. Rozsunął firanki, otworzył okno i głęboko odetchnął. „Zaręczyłem się. To ludzka namiętność. A co z resztą? Co z wiarą? Z boską namiętnością? Co z myśleniem moim, o Bogu, Chrystusie, o tych wszystkich, a także o tamtych innych sprawach? ‘Co jest głównym celem ludzkiego życia? ‘Poznawać Boga’. A ja zaręczyłem się. I będę miał żonę”.

Od tej chwili zaczął cierpieć niewymowne katusze. W dzień występował jako oficjalny naręczony i przyszły mąż Justyny, w nocy związał się z bólu na myśl o utraconym już na zawsze życiu (tak myślał) i zmarnowanej szansie zostania prawdziwym sługą bożym i pierwszym chrześcijaninem. „Jaka jest różnica między nimi a mną? Rację miał Duńczyk, gdy tak myślał. To tylko kwestia świata zewnętrznego”. Za dnia rozmawiał z rodzicami – swoimi i Justyny – o ich planowanym związku, przekonywał jednych i drugich do „trudnego, ale przecież możliwego” wspólnego kroku w przyszłe życie; nocą zaś wyobraźnia podsuwała mu obrazy tego właśnie przyszłego życia, jego otoczonego wianuszkami dzieci, bujającego się leniwie w wiklinowym fotelu, ze znudzoną miną przeglądającego gazety lub oglądającego głupią telewizję, słuchającego szczebiotu dzieci, utyskiwań żony (dlaczego w tych scenach zawsze była gruba?), narzekań teściowej i gderania teścia. Zawsze spoglądały wtedy na niego

pełne milczącego wyrzutu oczy ojca i słyszał głos matki, głaszczącej Justynę po włosach i mówiącej: „szkoda”.

Czy on ją kocha n a p r a w d ę? Czy ona go n a p r a w d ę kocha? Kim ona jest – dla niego? „Twój Bóg, Krzysztofie, Bóg niezrozumiały, niepoznawalny ma tyle samo sensu, co brak Boga”. Gdzieś już to słyszał... Tak powiedziała? Skąd u niej te myśli? Więc ona go r o z u m i e? Czy gdzieś to przeczytała i tylko powtarza?

Kogo i czego więc słuchać? Cauvina? Duńczyka? Racjonalnego rozumu? Serca? Justyny? Ojca? Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem... Coraz częściej ogarniała go czarna rozpacz. Być tym czy nie być tamtym? Albo-albo. Życ tak albo żyć inaczej? Rozpaczać to grzeszyć. Grzeszyć – lepiej umrzeć. Umrzeć – lepiej mu było nigdy się nie rodzić.

"Pójdź do mnie, mój chłopcze, w głęboki las!

Ach, strzeż się, bo wołam już ostatni raz!"

– Czy widzisz, mój ojczy, król zbliża się tu,

Już w oczach mi ciemno i brak mi tchu. –

Danusia Selin

Widziałam jak cierpi, wiedziałam dlaczego. Niestety w żaden sposób nie umiałam mu pomóc. Zresztą i tak mnie nigdy o pomoc nie prosił. Zawsze wszystko musiał przemyśleć i zrobić sam. Biedny Krzyś, zaplątał się w te zobowiązania wobec Justyny i zaraz, natychmiast zaczął tego żałować. Jakieś decyzje podjął chyba już następnego dnia po słynnych zaręczynach w olszynowej przystani. Dziś tak, jutro inaczej. Cały Krzyś, cały on, jakbym go nie znała. Chimeryczny jak zawsze. Czasem mnie także złość bierze na niego. A biedna przede wszystkim Justyna, że to na nią spadło. Znalazłam kiedyś na stole karteczkę. Z listą krzysiówych zamierzeń, postanowień, od tej chwili wiedziałam już, co piszczy w trawie. Po co więc ciągnął tak długo to wszystko? Myślę, że było mu wstyd. Wiedział, że straci twarz w Olchowcu i – sędzę – bardzo to przeżywał. A może jeszcze się wahał? To jego „albo-albo”. Znam tę jego śpiewkę. Tylko czy w życiu tak można?

Od października Krzyś zaczął dojeżdżać do Radzyna, studiowanie pochłonęło go zupełnie. Przyjeżdżał do domu w piątek po południu albo wieczorem, czasem w sobotę rano, siadał na swoim krzeselku w kuchni i długo opowiadał: o przedmiotach, które mu wykładają, o profesorach, zabawnych i groźnych, o asystentach, mądrzejszych i głupszych (tych drugich było więcej), o nowych kolegach, nowych koleżankach (o tych drugich – więcej), o swoich różnych pomysłach (zaczął pisać książkę). Siedział, siorbał tę obrzydliwie słodką herbatę

(zawsze tak okropnie słodzi i zawsze tak siorbie), gadał, gadał i widziałam, że odkłada chwilę, w której będzie musiał wstać i powiedzieć: „Idę do Justyny. Czy wiesz, co u niej słyhać? Mówiła coś o mnie? Może jaki wiersz masz od niej dla mnie? Ty oczywiście ani mru-mru, tak jak się umawialiśmy. Bo jak nie, to... Jakże leci wam w szkole? Próbna matura za pasem, Danusiu, ależ to zleciało! Rok temu ja nerwowo obgryzałem palce...”. Trzymał fason na zewnątrz, ale od środka gorączka trawiła to moje bracisko. Słyszałam (mamy sąsiednie pokoje, ściany w domu są cienkie), jak chodzi w nocy i coś do siebie mówi. Czasem krzyczał przez sen, wtedy wstawałam z łóżka, szłam do jego pokoju, brałam go za rękę i pytałam: „Krzysiu, czy coś ci się śni złego? Już dobrze, już dobrze braciszku...”.

W końcu... kiedyś przecież musiało wybuchnąć. W kotle parowym, gdy sypie się węgiel w palenisko bez opamiętania – w końcu para ma tak wielkie ciśnienie, że kocioł eksploduje, wybucha (zdarzyło się tak raz w Lesznie naszemu Stefankowi, od tego czasu i ogłuchł, i zgłupiał do reszty). Rzucił Krzyś od progu: „Zerwałem zaręczyny!” i zniknął u siebie. Po dłuższej chwili przyszedł do mego pokoju i dodał: „Ustaliłem – Danusiu – ponad wszelką wątpliwość, że umrę w wieku lat trzydziestu trzech, zatem uczciwość wymaga, by z nikim się nie wiązać. Poza tym, poza tym... mam coś do zrobienia, małżeństwo byłoby mi w tym przeszkodą” (tu muszę wspomnieć, że jest w naszej rodzinie taka przepowiednia, że z chwilą ukończenia przez brata lat trzydziestu trzech coś ważnego w jego życiu się zdarzy; takich banialuk naplotła naszej mamie Cyganka, tuż po narodzinach Krzysia).

Było to tuż po sylwestrze (jeszcze spędzili go razem), równo w rok po tym, jak poznali się w klubie. W szkole natychmiast zrobił się szum. Całe miasteczko zaczęło huczeć od plotek, że łobuz, że oszust, że dziewczynie w głowie zakręcił, a teraz ucieka, że nie wiadomo, co naprawdę jej zrobił i teraz się boi, że poznał tam inną, więc tej się pozbywa, że... Biedny Krzyś i biedna Justyna. A ja, ja to nie biedna? Teraz wszyscy na mnie. Dlaczego i dlaczego. „Moja Danusiu, chodź do nas kochanie, powiedz nam, kochanie, powiedz nam – dlaczego?”. „Panno Danuto, co to z tym Krzysztofem? To pani brat podobno. Więc dzisiaj bez bułek? A serek? Ser pyszny, świeżutki, więc jak to z tym bratem?”. „Danuśka, Danuśka, ale on dał ciała!”. Zebrałam się w sobie, napisałam w końcu do Justyny maila, że dobrze się stało. Spojrzała na mnie w szkole jakoś tak uważnie, powiedziała: „szkoda”, odwróciła się i już nie rozmawialiśmy o tym. W szkolnej gazetce „Pirat rzeczny” ukazał się złośliwy artykuł: „Nieusuwalny zapach migdałów, czyli o obłudnym chrześcijaństwie, który słowa nie umie dotrzymać, słów kilka”. Do tego ładne zdjęcie, ich, gdy idą razem, pod rękę. Krzyś wściekł się, chciał zamieścić odpowiedź, pisał coś nerwowo. W końcu dał się przekonać, że to nie ma sensu. Na tym sprawa przycichła. Była potem jeszcze jakaś między nimi rozmowa, chyba nic

nie dała – Justyna parę dni spędziła w domu (była wersja, że to niby grypa...); dziewczyny mówiły, że leży bez czucia, bez życia. Po powrocie do szkoły chodziła smutna, zgaszona, na studniówce pod koniec stycznia pokazała się jednak z chłopakiem z Radzyna, jakimś jej dalekim kuzynem (studentem szkoły technicznej, dużo starszym od nas); tańcząc obejmowali się czule, wesoło się śmiała. On patrzył w nią jak w obraz. Inni też patrzyli. Poszłam wcześniej do domu, odprowadził mnie Alek, chłopiec z naszej klasy. Krzysztof na ten weekend nie zjechał z Radzyna.

Po przerwie semestralnej Joanna, наша wychowawczyni, rzuciła nieoczekiwanie pomysł zorganizowania autokarowej wycieczki do Zakopanego. „Na początku marca, tylko na trzy dni. Przyda wam się mała przerwa przez ostatnim ‘skokiem’”. Żadnych górskich wycieczek, na to pora będzie niezbyt odpowiednia. O tej porze w Tatrach leży jeszcze dużo śniegu i często schodzą lawiny. Marcowe słońce topi czapy śnieżne, które zsuwają się w dół, do dolin. Sama za młodu przeżyłam w Kościeliskiej okropną przygodę. Zatem – zakwaterujemy się w domu wycieczkowym na Antałówce, znam tam jedną gaździnę, wynajmuje pokoje po piętnaście złotych od łóżka, komfortu może wysokiego nie ma, ale warunki są znośne. Po południu wjedziemy na Gubałówkę, zrobimy sobie zdjęcie z misiem, drugiego dnia zaliczymy Kasprowy Wierch, wieczorami powłóczymy się po Krupówkach. Jakaś kawa, małe (powtarzam: małe) grzane piwo. Leniwe ładowanie akumulatorów. Więc jak, zgoda?”. Nie było chyba nikogo, komu nie spodobałby się pomysł. Od razu zawiązał się cichy komitet organizacyjny, który zajął się zbiórką dodatkowych pieniędzy i podziałem zadań.

Tydzień przed wyjazdem (początek wycieczki zaplanowano na jedenastego marca, w czwartek) dwie dziewczyny z klasy złapały różyczkę; ich wyjazd był niestety wykluczony. Julia i Bogna pociągały nosami, gdy rozmawialiśmy z nimi przez telefon. „Kurczę, różyczki nie wolno przeziębici. A w ogóle, co to za pomysł, żeby zachorować na różyczkę, mając osiemnaście lat? Naprawdę nigdy tego miałaś? Ofiara...”. Oprócz nich z wycieczkowej grupy wypadło jeszcze dwóch chłopaków, których rodzice mieli poważne wątpliwości, czy wycieczka na dwa miesiące przed pisemnym egzaminem maturalnym nie zdezintegruje ich naukowej spójności, tak troskliwie konstruowanej przez ostatnie pół roku (czytaj: barany miały codzienne korepetycje).

Pakowałam się całe popołudnie po to, by rano wyrzucić wszystko z plecaka i spakować się w okamgnieniu jeszcze raz, tym razem – miałam nadzieję – bez popełnienia wszystkich błędów dnia wczorajszego. Późnym wieczorem z Radzyna przyjechał nieoczekiwanie Krzysztof, ale nad ranem zniknęli gdzieś z ojcem (zdaje się zabezpieczali ogrodzenie, które połamała wichura), więc uścisnęłam tylko matkę, cmoknęłam Stefanka w nieogolony szorstki

policzek, w ostatniej chwili dorzuciłam do worka pluszowego misia, którego dał mi na Gwiazdkę Alek, krzyknęłam przez sień „cześć, stary” do nowego pracownika ojca i ruszyliśmy z Wiktorem na zbiórkę. Godzinę chyba trwało układanie naszych toreb i plecaków w luku bagażowym. Po uroczystym przemówieniu pani dyrektor Tochmanowej (że też chciało jej się wstawać tak wcześnie) i solennym zapewnieniu o ściśle edukacyjnym charakterze wyprawy (rzecz tyczyła geografii i historii) oraz przygrożeniu nam konsekwencjami „w razie, gdyby, wiecie...” wesoły autobus z dwudziestoma czterema uczennicami i uczniami oraz dwójką nauczycieli (panią Joanną oraz wuefistą panem Marianem; ci dżentelmeni zawsze łąpczywie chwytają takie okazje) wytoczył się ze szkolnego podwórka. Pomachałam Wiktorowi, wetknęłam słuchawki odtwarzacza w uszy i błogo opadłam na siedzenie. Nasza klasowa ekipa usiadła razem z tyłu autokaru: na ostatnim siedzeniu chłopaki, w tym również „mój” Alek, potem ja z Weronką, przed nami Gośka i Maja, obok Karolina, tym razem z Klaudią, zwykle trzyma się Julii, ale Julia leżała chora na różę, przed nimi Justyna i Wiolka. Alek gra na basie w zespole Justyny, razem z nim siedział Robert, obaj zabrali gitary, ale na razie instrumenty leżały spokojnie na półce, czekając na lepsze czasy i powszechne „rozluźnienie obyczajów”. Hej, sokoły! – ktoś krzyknął dyszkantem, ale na razie nikt nie podjął wezwania. Żegnaliśmy miasteczko. Dzień wstawał mglisty, ponury. Uświadomiłam sobie, że słońca dziś chyba nie zobaczymy. Robert opowiadał jakiś sprośny kawał, chłopcy rechotali. Ciepło. Zdjęłam sweter i wyjęłam z podręcznego plecaczka butelkę niegazowanej. „Nie pij za dużo, bo będzie problem. Ależ mam, w autokarze jest toaleta. To już inne czasy”. Z lewej strony ciągnęła się olszynowa skarpa nad rzeką. Jechaliśmy wzdłuż koryta, barki w naszym małym porcie jeszcze smacznie spały, ale w szarudze wczesnego poranka parę osób kręciło się już na nabrzeżu. Jaka ta mgła gęsta. Jaka ta muzyka słodka. Dojeżdżaliśmy do rozstają dróg, do skrzyżowania z szosą wojewódzką...

„11 marca o godzinie 7.12 w Olchowcu na skrzyżowaniu drogi lokalnej z drogą wojewódzką Radzyń–Kraków doszło do wypadku, w którym autokar wycieczkowy, wiozący uczniów klasy trzeciej liceum zderzył się z ciężarową lawetą. Przyczyną wypadku były złe warunki drogowe oraz nieprzestrzeganie przez kierowcę autokaru przepisów ruchu drogowego. Kierowca nie zatrzymał się na znaku stopu. Laweta uderzyła w tył autokaru, pojazd przewrócił się i sunąc po szosie uderzył w drzewo. W wyniku powstałego pożaru autokar spłonął doszczętnie. Pożar wywołany został prawdopodobnie przez zapłon paliwa z rozbitego zbiornika pojazdu. Na miejscu zginęło osiem osób, dziewięć zmarła w szpitalu.

Wśród ofiar... Policja bada szczegóły zdarzenia”. Na miejscu tragedii jest nasz specjalny wysłannik...”.

Więc ojciec syna w ramionach swych skrył

I konia ostrogą popędził co sił.

Nie wiedział, że syn skonał mu już

W tym głuchym lesie wśród olch i brzóz.

– Wstawaj, synu, musimy iść.

– Która to godzina? – rozespany Krzysztof odwrócił się do ściany i nakrył głowę kołdrą.

Odwołano piątkowe wykłady, więc postanowił urwać się z czwartkowych zajęć i przyjechać już w środę do domu. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak zdecydował. Zwykle nie opuszczał zajęć, a w czwartki miał od nowego semestru seminarium ze starożytnej Grecji, które prowadził młody profesor z Krakowa, i które się bardzo, ale to bardzo Krzysztofowi podobało. O profesorze mówiono, że jak nikt potrafi opowiadać o zapomnianej kulturze kreteńskiej. Więc czemu?

– Dochodzi trzecia. Wstawaj, czekam na dole. I pospiesz się, nie ma wiele czasu – w głosie ojca wyczuł kategoryczne żądanie, więc wydłubał się z łóżka, jęcząc żałośnie.

Do domu dotarł dziś około jedenastej (Danusia już spała, zdaje się, że rano wybiera się na jakąś wycieczkę), zjadł zimną kolację, trochę czytał, więc wychodziło na to, że przespał wszystkiego trzy godziny. Wyszedł przed dom. Niebo było jasne, księżyc świecił mocno, ale blade, strzępiaste chmury zaczynały wylaniać się zza Góry. Było zimno, Krzysztof nasunął kaptur kurtki. Ojciec stał zgarbiony i podpierał się okutą laską (coraz częściej jej ostatnio używał i Krzysztof nagle uświadomił sobie, że ojciec zaczyna się starzeć). W drugiej ręce Selin trzymał wiązkę drzewa. Stary wskazał laską w kierunku rzeki:

– Idziemy do olszynowego lasu, na szczyt skarpy. Weź ode mnie to drzewo. Masz jakie zapalki?

– Zapalki? – mimowolnie sięgnął do kieszeni kurtki. Od Nowego Roku zaczął regularnie palić, ale nie przyznawał się do tego ojcu. – Zapalki? Przypadkowo mam. Do olszynowego lasu? Po co ojcze? Czy?... – nie dokończył, bo Selin ruszył już przed siebie.

Szli dłuższą chwilę. Z ich domu do olszynowej skarpy było jakieś pół godziny. Wyprzedził nieco ojca i zaczął wdrapywać się na górę. Przystanął w połowie wzgórza, na piaszczystym wzniesieniu. Wydało mu się, że słyszy jakieś głosy, że widzi jakieś ruchome cienie. „Zmęczenie, to tylko zmęczenie”.

– Ojcze! – odwrócił się i w ciemnej gęstwinie starał się dostrzec starego.

– Jestem, mój synu. Chyba dotarliśmy na miejsce. Daj mi tę wiązkę i ten ogień – Selin podszedł do Krzysztofa. Broda mu się trzęsła. – Bóg, sam Bóg – głos mu drżał – przyszedł dziś do mnie i rzekł: „Selinie, Selinie. Tragedia wielka zawisła nad domami wielu braci twoich. Jeśli jest ci drogi ich los i los ich dzieci, weź twego syna, którego miłujesz, idź do olszynowego lasu... – stary podniósł laskę – ... a wtedy odmienię wyroki moje”.

– Ojcze!

„...zawołał do niego anioł Pański z nieba: Abrahamie, Abrahamie! A on odpowiedział: Jestem, Panie! [Anioł] rzekł: Nie podnoś ręki na własnego syna, nie czyń mu nic złego! Wiem już, że lękasz się Boga; nie zawahałeś się bowiem oddać na ofiarę swego jedynego syna”.

„11 marca w godzinach rannych w Olchowcu na skrzyżowaniu drogi lokalnej z drogą wojewódzką Radzyń–Kraków omal nie doszło do tragicznego wypadku, gdy autokar wycieczkowy, wiozący uczniów klasy trzeciej liceum wyjechał z drogi podporządkowanej wprost na ciężarową lawetę. Tylko nadzwyczajnej przytomności umysłu kierowcy lawety zawdzięczają zdrowie i życie uczniowie jadący na szkolną wycieczkę do Zakopanego. Laweta uderzyła co prawda w autokar, ale kierowca w ostatniej chwili skręcił w lewo, w kierunku rzeki, unikając czołowego zderzenia. Tylko dwóch uczniów siedzących z tyłu odniosło lekkie obrażenia. Wycieczkę oczywiście przerwano. Mówi się, to gwałtowny, potężny podmuch wichru spod szczytu Góry szarpnął pędzącym z dużą prędkością samochodem ciężarowym, ale raczej trudno temu dać wiarę. Na miejscu wydarzenia był nasz specjalny wysłannik...”.

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty Księgi Rodzaju i Księgi Psalmów z *Biblii Warszawsko-Praskiej* w tłumaczeniu bpa Kazimierza Romaniuka, *Katechizmu Heidelberskiego* i *Katechizmu Genewskiego*.